16. października 1. roku edwardiańskiego

Obleśne. Mama zawsze mawiała, że od takich typów dzieci powinny trzymać się z daleka. Wprost nie mogłem patrzeć na to, jak ten człowiek zachowywał się wobec Wery. Te lubieżne spojrzenia... Na myśl przychodziły mi obrazki z książeczek dla dzieci, które czytała mi mama. Przypomniała mi się ilustracja: oblizujący się wilk tuż przed schwytaniem niewinnego Czerwonego Kapturka.

Rzeczony mężczyzna z przymilnym uśmieszkiem prawił dziewczynie dwuznaczne komplementy, a ona siedziała tam cała zarumieniona ze wstydu. Aż dziw, jak bardzo czułem się zobowiązany pomóc prawie nieznanej mi dziewczynce, z którą, w gruncie rzeczy, nigdy nawet nie przeprowadziłem dłuższej konwersacji.

Ale czy byłem wystarczająco odważny? Czy byłem na tyle odważny, by bez problemu odezwać się do nieznanego mi osobnika, który był przecież człowiekiem. A ludzie są przerażający. Zebrałem się w sobie i rzekłem swoim najbardziej ponurym tonem:

- Czy już wszystkie klasy miały robione zdjęcia?

- Nie – odpowiedział niemiłym tonem fotograf. – Tak właściwie, to tylko jedna klasa była, jak na razie, na zdjęciach – powiedział, patrząc na mnie, jak na niebywałego IDIOTĘ.

- Czy już nie czas, żeby zajął się pan kolejną klasą? – zapytałem. – Wero, może pójdziesz po następną na liście? – to był jeden z tych dziwnych momentów, które, mimo upływu czasu, wprawiają mnie w osłupienie. Momenty, kiedy to zaskakiwałem samego siebie. Zazwyczaj nie mogłem oczekiwać od siebie takiej śmiałości. Najciekawsze było to, że nigdy mi nic nie wychodziło w kryzysowych sytuacjach, ale gdy aż tak bardzo nie potrzebowałem nagłego wylewu ludzkich zachowań, naturalnie, musiał się on pojawiać. Oczywiście chciałem pomóc Werze, ale dlaczego nie potrafiłem zdobyć się na coś takiego podczas rozmowy z Konradem?

Dziewczyna spojrzała na mnie z niemym zadziwieniem. Chyba najbardziej zaszokować musiało ją jej imię wypowiedziane przeze mnie, osobę, która przecież nie powinna wiedzieć, jak ona się zwie. Zacząłem się zastanawiać czy aby na pewno było to dobre posunięcie... Ale po chwili na twarzy Wery zagościł uśmiech, który, mam nadzieję, miał wyrażać wdzięczność. Odeszła nieco zbyt szybkim krokiem.

Fotograf zmierzył mnie wrogim wzrokiem. Nie przejąłem się tym. Rzadko przejmuję się tym, co ludzie o mnie myślą. Pewnie dlatego, że wszyscy myślą to samo. Wszedłem za fotografem do sali, w której miał robić dzieciom zdjęcia. Po chwili pojawił się również rozwrzeszczany tłum nieprzyjemnej młodzieży. Stałem tam tak i wpatrywałem się z przestrzeń. Najprawdopodobniej na mojej twarzy gościł uśmiech.

- A pan co tu robi? – zapytał nad wyraz nieuprzejmie pan fotograf.

Wzruszyłem ramionami i opuściłem klasę. Łaski bez. Opuszczenie klasy było dobrym posunięciem. Na zewnątrz czekało na mnie wspaniałe widowisko. Wera i dwie jej koleżanki uśmiechały się do siebie kpiąco, śledząc wzrokiem poczynania naszego szkolnego konserwatora. A były one dość interesujące i niebywale niebezpieczne. Konrad postawił na podłodze bardzo długą drabinę, opierając ją o tę śmieszną dziurę w suficie (do tej pory nie wiem, po co ona tam jest) i zaczął się wspinać. Naprawdę wysoko. Aż do tej dziury. I magia! Otworzył jakiś właz i zniknął. Byłem doprawdy oszołomiony. Ja nigdy nie odważyłbym się dokonać czegoś takiego. Nadal wlepiając oczy w pustą dziurę w suficie, poczułem na sobie czyjś wzrok. Z przejęcia zapomniałem o tych trzech młodych niewiastach. Speszyłem się. Wołałem się stamtąd oddalić niż nadal znosić uważne spojrzenia nastolatek. Ale nie zrezygnowałem z dalszej części przedstawienia. Ukryłem się za rogiem i nasłuchiwałem. Zerknąłem. Dziewczęta podeszły do dziury i, wysoko zadzierając nosy, wypatrywały Konrada.

- Jaki on jest dzielny! – radośnie pisnął głosik Wery.

Poczułem coś dziwnego. To było uczucie zazdrości. Uratowałem ją przed zboczeńcem, ale laury zbierał konserwator, który potrafił wleźć na drabinę. Zazdrość to jeden z siedmiu grzechów głównych. Nie

powinienem zazdrościć. Przestraszyłem się. Czyżbym podupadł moralnie? Czyżbym przestał być wzorem dobrego człowieka, za jakiego zawsze uważała mnie moja matka?
Ale tupot nóg przerwał moje rozważania. Konrad schodził z drabiny. Wziął ją na swoje ramiona i ruszył ku schodom. Już chciałem stamtąd odejść, lecz zatrzymał mnie nagły, zupełnie niespodziewany wybuch śmiechu. Nie mojego, oczywiście. Śmiechu dziewcząt. Szybko pośpieszyłem korytarzem, by ujrzeć to zabawne „coś". Było mi szkoda Konrada. Drabina była tak długa, że zaklinował się z nią na klatce schodowej, a przy okazji udało mu się zrzucić doniczkę z kwiatkiem. Wydaje mi się, że fakt, iż te trzy młode damy się z niego śmiały, stanowczo nie pomagał mu przezwyciężyć trudności.

- *Wspaniale, Edwardzie, wspaniale!*
- *Co?*
- *Napisałeś o swoich uczuciach! To znaczy, że najprawdopodobniej zbliżamy się do końca.*
- *Końca czego?*
- *Opowieści.*
- *Nie wydaje mi się.*

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Sonrisa, dodano 11.06.2012 10:07

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.